

Zanurzeni w animacji

Starły się dwie postawy – w dużej mierze wynikające z pokoleniowych różnic. Z jednej strony pytano: „Dlaczego kiedyś powstawało dużo dobrych filmów, a dziś nie powstają”. Z drugiej – zapewniano: „Jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej”.

Zaczął się od otwarcia wystawy „Fazy. Animacje Daniela Szczechury”, którą Muzeum Kinematografii przygotowało z okazji 70-lecia polskiej animacji. Pokazuje ona materiały i proces tworzenia krótkiego filmu „Skok” z 1978 roku, wykonanego techniką rotoskopii, czyli odrysowanego klatka po klatce z filmu zarejestrowanego w żywym planie.

Rozmowa, którą poprowadził znawca animacji krakowski krytyk filmowy Jerzy Armata, pokazała przede wszystkim, jak zmienił się świat i branża filmowa. Widać to było już na wystawie, a właściwie wystawce wciśniętej w róg poddasza pałacu Scheiblera. Znalazły się tam obok zdjęć Szczechury przy pracy nad filmem, kadrów, rysunków, także podania i wyjaśnienia świadczące o stopniu zbiurokratyzowania ówczesnej kinematografii. Podczas spotkania zobaczyliśmy też jak zmienia się myślenie kolejnych pokoleń pedagogów wykładających animację w Szkole Filmowej w Łodzi.

Jerzy Armata o wszystkich swoich gościach napisał książki (z wyjątkiem Stanisława Lenartowicza). To dzięki nim o animacji możemy mówić jako o sztuce. Zaczął standardowo: jak to się stało, że zafascynowała ich animacja, bo przecież zaczynali od czegoś innego. Stanisław Lenartowicz (ur. 1939) studiował reżyserię w Szkole Filmowej w Łodzi, Daniel Szczechura (ur. 1930) – sztukę operatorską, Piotr Dumala (ur. 1956) najpierw konserwację rzeźby na ASP w Warszawie, by później zostać uczniem Szczechury w pracowni filmu animowanego tamże. Mariusz Wilczyński (ur. 1960) nigdy animacji nie studiował – studiował malarstwo i drzeworyt na ASP w Łodzi, a do wszystkiego doszedł metodą prób i błędów. Jednak u Dumala zrobił doktorat pod tytułem „Kizi Mizi” i jest pedagogiem w uczelni przy Targowej.

Jednak Daniel Szczechura szybko sprowadził rozmowę na inne tory (swój ostatni film zrobił w 1997 roku): – Przyglądam się polskiej kinematografii jako kibic, oglądam filmy animowane i widzę, że jest średnio. One nie wnoszą niczego nowego. Postęp technologii jest olbrzymi, ale czy za tym idzie wartość artystyczna. Moim zdaniem mało jest filmów z duszą.

Według Mariusza Wilczyńskiego technologia umożliwia zrobienie większej liczby filmów za mniejsze pieniądze, ale to nie idzie w parze z liczbą powstających dzieł sztuki. Prawdziwa sztuka niezależnie od technologii wciąż wymaga od artysty determinacji, wiary, oddania się filmowi całym sobą. – Gdy wspominam wasze genialne lata, to jednak z tamtych czasów pamięta się pięciu, dziesięciu autorów – mówił Wilczyński. – Pracuję w szkole od dziesięciu lat i w tym czasie powstało z dziesięć filmów, które są naprawdę bardzo dobre – poczynając od śmieszno-dramatycznego filmu „Drżące trąby”, który Natalia Brożyńska zrobiła akurat u mnie i u Marka Skrobeckiego, poprzez film Anity Kwiatkowskiej-Naqvi „Ab ovo”, który powstał u Piotra, po ostatnio zrealizowany też u mnie film „Cipka” Renaty Gąsiorowskiej. Piotr mógłby dorzucić kolejne. Czas to wszystko przesiewa.

Z diagnozą Daniela Szczechury nie zgodził się również Piotr Dumala. Stwierdził, że diametralnie zmieniła się motywacja. Robienie filmów było rodzajem przepustki do świata. Dumala pierwszy raz wyjechał na Zachód, kiedy zrobił film i pojechał z nim na festiwal do Annecy. Tylko dlatego dostał paszport. – Dziś jest wolność i nie szuka się jej w sztuce, tak jak wtedy. Po drugie mówimy tu o filmach studentów, że nie ma tam arcydzieł. W czasach, kiedy ja studiowałem, w ogóle się nie mówiło o filmach studentów. To były etudy zadane przez nauczyciela, jak moja o babci, która

weszła na stołek. Nikt nie myślał o wysyłaniu jej na jakikolwiek festiwal. Dziś to są główne filmy w Polsce.

Ktoś z sali zauważył, że kariery młodych twórców animacji często kończą się wraz z końcem studiów. To autorzy jednego albo dwóch filmów, choć ich dzieła zdobywają nagrody na ważnych festiwalach na świecie. Dzieje się tak dlatego, że ci młodzi ludzie mają dziś wiele możliwości wyboru drogi rozwoju. Oprócz filmu mogą robić wiele ciekawych rzeczy, zwykle bardziej intratnych.

Dzięki technologii cyfrowej i Internetowi powstaje mnóstwo filmów, bo każdy może animować. Na festiwal Animator, pewien Koreańczyk przysłał 34 filmy, które zrobił w danym roku i napisał: „wybierzcie sobie państwo najlepszy”. - Dawniej to wszystko było uporządkowane - wspominał Jerzy Armata. - Jeśli chciałem poznać roczny dorobek polskiej animacji, bo pisałem tekst, w ciągu tygodnia objechałem sobie wszystkie studia: Poznań, Se-ma-for, Bielsko, Warszawę i Kraków, obejrzałem dwieście filmów i miałem jasność. Teraz takiej jasności nie mam, bo to wszystko bardzo się rozproszyło.

Przeciw widzeniu współczesności animacji w czarnych barwach („kiedyś było lepiej, a teraz jest do niczego”) protestował Mariusz Wilczyński: - Nie wiem, czy lepsze są filmy Anity Kwiatkowskiej-Naqvi, czy młodego Szczechury.

Dziś też się sporo dzieje. Jego dyplomanci i absolwenci składają wnioski do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i właściwie wszyscy dostają dofinansowanie. Powstają firmy prywatne produkujące filmy. Przed młodymi ludźmi świat stoi otworem, a mimo to studenci mają w sobie pasję, żeby robić filmy, często nie podejmując komercyjnych zleceń albo zarabiając na życie w inny sposób. Wymienił takich twórców jak Marta Pajek i Tomasz Popakul.

- Miałem dwóch uczniów, którzy zrobili dobre debiuty w Studiu Munka w Warszawie, ale potem powiedzieli „dziękujemy, będziemy robić gry komputerowe” - przypomniał Daniel Szczechura. - Kilka lat temu był bardzo dobry film „Laska” Michała Sochy. Facet stwierdził: „po co mi to?” i robi reklamy.

Zatem część twórców wybiera zarabianie pieniędzy, na co nie ma szans w kinie artystycznym. Czy w czasach Szczechury i Lenartowicza animatorzy mieli takie pokusy - pytał retorycznie Wilczyński.

Daniel Szczechura wyłożył różnicę między ludźmi, którzy teraz zaczynają robić filmy a jego pokoleniem: - Myśmy wiedzieli, dla kogo robimy. Nasze filmy były dodatkami do seansów. Były konfrontowane z publicznością. Czy coś takiego teraz istnieje?

Nie, bo całkowicie zmieniło się rozpowszechnianie filmów krótkich i animowanych. Dystrybucja przeniosła się do Internetu. Jerzy Armata podał przykład filmu ze studia Tomasza Bagińskiego, który przez trzy dni od premiery internetowej obejrzało pięć milionów osób.

- A skąd wiesz, że obejrzało? - zaatakował Szczechura, na co Armata odpowiedział: - Było pięć milionów kliknięć, które przełożyły się na pieniądze. Te środki Bagiński może przeznaczyć na kino artystyczne. Są takie hity w sieci, z których powstaje czasem coś interesującego.

To oczywiście nie zadowoliło reżysera. Dla niego tych pięć milionów to tylko kliknięcia, a nie widzowie. Dla niego film bez tradycyjnie rozumianej publiczności nie istnieje. Zdaje się nie akceptować tego, jak zmienił się świat, bo przecież teraz bardziej niż kiedykolwiek otacza nas animacja. Filmy krótkie młodzież ogląda na YouTube najczęściej w telefonie. Nie pójdzie do kina na „Drżące trąby”, kiedy o nich usłyszysz, tylko sobie kliknie w Internecie, a jak się spodoba, puści

jeszcze raz. Młodzi ludzie – jak słusznie zauważył ktoś z sali – są zanurzeni w animacji niemal 24 godziny na dobę.

– Kiedyś były państwowe studia filmowe. Chodziło się do pracy robić filmy, a potem całym studiem jechało się na grzyby. Tego rodzaju wspólnoty już nie istnieją – o różnicach w organizacji produkcji, finansowaniu, mentalności i technologii mówił Piotr Dumala. Kiedyś robiło się filmy na taśmie, a negatyw wywoływało w laboratorium. Tam do efektów, np. przenikań, były specjalne urządzenia. Teraz komputer jest takim laboratorium w pigułce – tu mamy wszystkie tricki.

To, że i dziś powstaje mnóstwo ciekawych polskich filmów animowanych potwierdził siedzący na widowni kiniarz. – Prowadzę małe kino w Płocku i od dwóch lat korzystam z czegoś, co się nazywa Ogólnopolski Festiwal Polskiej Animacji O!PLA. Ostatnio było 180 polskich filmów. Jeśli więc chodzi o bogactwo oferty, nie mamy nad czym rozpaczać. Trzeba coś zrobić, żeby kina chciały te filmy grać. Sam pokazuję animacje przed normalnymi seansami. A może dałoby się wprowadzić obowiązek pokazywania animacji w kinach.

Inicjatywę O!PLA docenił również siedzący na sali Krzysztof Jajko z Muzeum Kinematografii, przypominając, że Piotr Kardas robi ten festiwal bez żadnego dofinansowania. Jeździ z filmami do kilkudziesięciu miast, miejscowości, wiosek nawet. Jednocześnie Jajko zaproponował rozwiązanie: – PISF daje pieniądze na produkcję filmów animowanych, ale nie tworzy alternatywnego systemu dystrybucji, a taki funkcjonował w PRL. Spróbujmy zrobić coś takiego w Internecie po odpowiedniej selekcji. Niech pięć milionów kliknięć ma dobry film, a nie byle jaki, stworzony dlatego, że ktoś się dobrze wypromuje przez Facebook.

Nie ulega wątpliwości, że do ratowania filmu animowanego (jak i wszystkich innych wartościowych wytworów kultury) trzeba wykorzystać nowe media. Rozwoju technologii i zmian, które niesie nie można ignorować. Filmu za pośrednictwem nowych mediów od dawna używają spece od marketingu i reklamy, żeby zarabiać pieniądze. Oni już wiedzą, jak dzięki technologii dotrzeć do odbiorców i wciąż wymyślają nowe sposoby.

Optymistycznie nastawiony jest Mariusz Wilczyński: – Robię film od dziesięciu lat. Wierzę, że trafi do kin i ludzie na to pójda. Podobnie wierzy moja producentka Ewa Puszczyńska. Za tydzień w San Rafael w Kalifornii mam swój performance na festiwalu filmowym Mill Valey z muzykami amerykańskimi. Robię animację na żywo, przychodzą ludzie, sprzedajemy bilety. Na performance z Wojciechem Waglewskim w Polsce przyszło raz dwadzieścia tysięcy osób.

Bogdan Sobieszek